

---

ANNALES  
UNIVERSITATIS MARIAE CURIE-SKŁODOWSKA  
LUBLIN – POLONIA

VOL. XIV, 2

SECTIO L

2016

---

Instytut Muzyki Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej

TOMASZ JASIŃSKI

*Nasza „Dyrekcja”.*  
*Profesor Beata Dąbrowska w mojej pamięci*

---

Our “Directors”. Professor Beata Dąbrowska in my Memory

Jeśli rozważa jest twórcza –  
któreż ze stworzeń bardziej twórcze niż Mądrość?  
I jeśli kto miłuje sprawiedliwość –  
jej to dziełem są cnoty:  
uczy bowiem umiarkowania i roztropności,  
sprawiedliwości i męstwa,  
od których nie ma dla ludzi nic lepszego w życiu.

Mdr 8, 6-7

I

Profesor Beata Dąbrowska została dyrektorem Instytutu Muzyki Wydziału Artystycznego UMCS w 2005 roku. Pamiętam ten moment i nasze wrażenia z pierwszych miesięcy urzędowania nowej Pani Dyrektor. Od razu mieliśmy poczucie, że kierownictwo objęła osoba obdarzona nieprzeciętnymi i niezbędnymi na takim stanowisku atutami. Niezwykle oddana swojej pracy, tryskająca zapałem, życzliwa dla współpracowników i studentów, wyrozumiała, ujmująca

skromnością, prostolinijna, żyjąca sprawami Instytutu i mająca świetne w nim rozeznanie – już wkrótce stała się naszą kochaną „Dyrekcją”.

Kolejne lata miały pokazać, że Beacie Dąbrowskiej przyszło kierować Instytutem Muzyki w bodaj najtrudniejszym pod względem organizacyjnym okresie jego istnienia. Nastął czas wielorakich, szybko po sobie następujących zmian. Zarządzeniami ministerialnymi i ogólnouniwersyteckimi wprowadzono dwustopniowość, zreformowano profil studiów, ustanowiono nowe metody finansowania badań naukowych i działalności artystycznej, zastrzono rygory utrzymywania zakładów naukowych, podziałów na grupy konwersatoryjne i ćwiczeniowe, zagęszczono akredytacje, hospitacje, opiniowania, rozmnożono sprawozdania, formularze itd. Rozporządzenia te wymuszały modyfikowanie programu studiów, projektowanie nowych siatek godzin, nierzadko zmiany personalne obsady przedmiotów i rozmaite inne posunięcia reorganizacyjne. Pojawiły się wreszcie nowe „dobrodziejstwa”: sylabusy, moduły, excele, punkty ECTS, systemy POLON, SYJON, SAP, USOS, które – wyrażę się najogólniej, jak potrafię – nie ułatwiły życia uniwersyteckiego, co skądinąd nie ominęło także pozostałych polskich uniwersytetów.

Wszystkie te innowacje – permanentnie implantowane, nasilające się i nakładające na siebie, oznaczające dla Uczelni w istocie całkowicie nową epokę – obarczyły Beatę Dąbrowską zadaniami przekraczającymi normalną, utartą dotąd praktykę związaną z funkcją dyrektora Instytutu. Profesor Dąbrowska nie tylko musiała ogarnąć owe zmiany i nadążać za nowymi zarządzeniami, lecz także – a nie było to łatwe – wyegzekwować określone powinności od współpracowników (dla których szczególnie napór nowości technologicznych często okazywał się barierą trudną do przebycia). Wymagało to z Jej strony nieustannej aktywności i wielkiej cierpliwości. Ileż czasu po godzinach pracy spędzała w Instytucie, nierzadko do wieczora! Niekiedy było tak dzień w dzień. Ślęczenie nad sprawozdaniami, symulacjami, opiniami, liczbami... W domu też nie miała oddechu, bo dalszy ciąg „dyrektorowania” to przygotowywanie coraz liczniejszych i coraz bardziej wymyślnych materiałów na potrzeby Instytutu, Wydziału i Uniwersytetu, nadto prawie codzienne maile albo telefony do współpracowników; najczęściej z prośbami, pytaniami, poleceniami: żeby coś wypełnić, przesłać lub odesłać, poprawić, sprawdzić, jakiś szczegół skorygować – i zdążyć z tym na czas. Wszystko to robiła z ofiarnością godną największego podziwu, zarazem – co niesłychanie istotne – z dużym spokojem, umiejętnie i taktownie motywując nas do podjęcia niezbędnych w danej sprawie działań. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że kierowanie Instytutem Muzyki pojmowała jako prawdziwe posłannictwo i z całą świadomością postawiła je na pierwszym planie życia zawodowego, ponad własną karierę artystyczną. Cały ten przeszło dziesięcioletni wysiłek Pani Dyrektor trudno doprawdy przecenić.

W ostatnich zwłaszcza latach, kiedy zostaliśmy nieomal obezwładnieni przez aplikowane nam systemy i „przypięci” do komputerów sprawozdaniami, tabelami, wykazami itp., coraz to nowymi i coraz częściej wymaganymi, Beata Dąbrowska musiała nad nami jakoś zapanować, by każdy z nas wypełnił terminowo swoje powinności, co nie było dla Niej bynajmniej wdzięcznym zadaniem. Nigdy wszakże – chciałbym to mocno podkreślić – nie uciekała się do stanowczych dyrektyw czy słów niezających sprzeciwu, które mogłyby wprowadzić nerwowość i nadmierny stres. Czyniła to przez subtelne prośby, zachęty, brzmiające niekiedy nawet niezobowiązująco (co skądinąd wiązało się z tym, że w ogólności nie stwarzała wobec siebie dystansu, a władczy ton był Jej zupełnie obcy). Zrazu mogłoby się często wydawać, że polecenia Pani Dyrektor niekoniecznie może trzeba spełnić, bo to przecież tylko prośba czy nieśpieszne ponaglenie, ale zawsze w końcu wszyscy staraliśmy się je wykonać, mniej lub bardziej udolnie. Jeśli trzeba było coś „na wczoraj”, to najczęściej z Jej ust płynęły słowa: „wiem, że masz dużo pracy i nie masz czasu, ale, proszę, zerknij na to i zrób coś z tym”. Nie można było odmówić. Jeżeli chciałem przekonać Ją, że kolejny ofiarowany nam „wynalazek” jest zbędny, także i dlatego, że rychło zostanie zastąpiony przez następny, równie dyskusyjny i równie chwilowy, to nie słuchając do końca moich dywagacji, przerywała: „przecież ja to wiem, po co mi to w ogóle mówisz? Ale to trzeba zrobić”. A innym razem ujmująco: „zlituj się, to kto to zrobi?” I robiliśmy, w gruncie rzeczy – wielokrotnie miałem takie odczucie – przede wszystkim dla Niej.

Pamiętam dzień, kiedy czekałem na uprzednio umówiony telefon od „Dyrekcji”. Bałem się tej rozmowy, bo chodziło o poważną kwestię, na którą ja miałem zupełnie odmienny pogląd. Gorączkowo szukałem argumentów. Telefon zadzwonił, gdy transmitowano mecz polskich piłkarek ręcznych. Podejmuję słuchawkę i słyszę: „Dobry wieczór. Tomaszu, to jak to? nie oglądasz naszych dziewczyn? Mój Darek patrzy”. Po takim wstępie nasza dyskusja musiała wejść na właściwe tory, a sprawy, które wydawały się nie do rozwiązania, znalazły swój dobry finał. Podobnych chwil było więcej. Ośmieliłem się przywołać jedną z nich, aby wspomnieć i to, że Beata Dąbrowska potrafiła niekiedy jednym niepozornym zdaniem, myślą rzuconą mimochodem, choćby i „nie na temat”, uczynić więcej niż samą perswazją, bo właśnie w taki sposób wytwarzała klimat bliskości, zaufania, a to nierzadko pozwalało również rozładowywać napięcia. Chwile i słowa takie zazwyczaj uchodzą naszej uwadze, a przecież w pewnych sytuacjach bywają niezastąpione.

Profesor Dąbrowska bardzo dbała o naukową kondycję Instytutu. Wprawdzie sama działała przede wszystkim na polu artystycznym, najwięcej z prowadzonym przez siebie Chórem Kameralnym Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego w Lublinie, obok tego naturalnie w ramach dydaktyki uniwersyteckiej (prowadziła zajęcia m.in. z dyrygentury chóralnej, czytania partytur, zespołu wokal-

nego), to jako dyrektor Instytutu uważnie patrzyła na całość kierowanej przez siebie placówki i oprócz praktyki muzycznej doceniała również wagę pionu naukowego. Nie było to podyktowane tylko pragmatyką związaną z kwestią parametryzacji (tj. ze zdobywaniem punktów za opublikowane książki, zorganizowane konferencje albo uzyskane granty), ale wynikało z autentycznego dowartościowania badań naukowych. Ujawniało się to w tym, że Beata Dąbrowska konsekwentnie i uporczywie zabiegała o nasze zaangażowanie w pozyskiwanie środków finansowych na tzw. badania statutowe i odpowiednie spożytkowanie zdobytych już funduszy. Chciała, żeby w przedsięwzięciach tych uczestniczyło jak najwięcej osób i aby rezultaty podjętych działań były znaczące. Nie ingerując bynajmniej w merytoryczne plany i decyzje poszczególnych pracowników (gdy idzie o wybór tematów badawczych czy konkretnych projektów edytorskich), namawiała ich jednak do starannej selekcji pomysłów i realizowania najwartościowszych z nich. Bardzo często też – już po definitywnym ustaleniu, co ma być wydane drukiem albo zrealizowane w inny sposób – po wielokroć przypominała nam o tym mailami, telefonami, także podczas towarzyskich rozmów; po to, żeby każdy z nas zdołał wywiązać się ze swoich zobowiązań jak najlepiej i w przewidzianym terminie. A potem, gdy już dostawała „produkt” owych corocznych badań statutowych (książkę, edycję nutową, płytę), nie kryła satysfakcji i radości. Gratulacje, uściski... Doświadczyłem tego kilka razy i każdorazowo miałem poczucie, że cieszy się z moich prac jak ze swoich własnych. Okazywanie radości z nowo powstałych publikacji, tudzież z uzyskiwanych przez pracowników Instytutu nagród, zdobywanych przez nich stopni naukowych, awansów (do czego stale ich mobilizowała), finalizowania grantów i innych sukcesów, było piękną cechą Pani Dyrektora. Ktoś mógłby powiedzieć, że to rzecz normalna, może niewarta wzmianki, bo każdy przełożony byłby rad... Nie. Ten spontaniczny, bardzo szczerzy entuzjazm zawsze stawał się dodatkową inspiracją i zachętą do kolejnych zamierzeń. W takich chwilach dostawało się skrzydeł.

Beata Dąbrowska wspomagała nasze wydzielowe „Annales”; od czasu objęcia funkcji dyrektora Instytutu wchodziła zresztą w skład Komitetu Redakcyjnego czasopisma. Bardzo cieszyła się z każdego nowo opublikowanego tomu, czytała zawarte w nim teksty, niejednokrotnie dzieliła się refleksjami z lektury. W kilku trudnych dla „annałów” momentach podnosiła redakcję na duchu, życzliwie i mądrze radząc, żeby nie przejmować się zanedo małymi niepowodzeniami.

Zainteresowanie sferą naukową ujawniało się też na innych poziomach. Profesor Dąbrowska, jako dyrektor Instytutu, przewodniczyła egzaminom magisterskim i licencjackim. Podchodziła do nich z największą powagą i prawdziwą pasją. Podczas egzaminu starannie wertowała diskutowaną rozprawę, zadawała dyplomantowi nadprogramowe pytania, dociekała rozmaitych kwestii, prowokowała polemikę, wychwytywała zarówno błędy w tekście, jak i jego walory (umiała je docenić), a po

zamknięciu tury egzaminów dyplomantom składała niezwykle serdeczne, daleko wykraczające poza konwencjonalne formuły, gratulacje i życzenia sukcesów w przyszłej pracy. W ich obecności dziękowała też promotorom i recenzentom. Wspominam to, aby podkreślić w sposób specjalny jednak co innego. Zawsze, mianowicie, bardzo imponowało mi, że Beata Dąbrowska przewodnicząc owym egzaminom, niemal zupełnie nie liczyła się z czasem. Wielokrotnie, zwłaszcza przy wyróżniających się pracach magisterskich, przekraczała zasób minut przewidzianych na obrady (planowane dwadzieścia minut rozrastało się niekiedy nawet do godziny), czym oczywiście burzyła ustalony harmonogram posiedzeń. Wychodziła wszakże z jednego podstawowego założenia: uważała, że egzamin magisterski to doniosłe wydarzenie dla osoby kończącej studia, zazwyczaj dla niej jednorazowe, i dlatego trzeba, na tyle, na ile rzecz tego wymaga, przeprowadzić go możliwie wyczerpująco, bez pośpiechu i bez pomijania nawet drobnych kwestii. Owe przedłużające się serie egzaminacyjne – bywało, że o dwie lub trzy godziny – wspominam jako naprawdę piękne i wartościowe chwile.

Troska o poziom Instytutu i jego ogólną edukacyjną kondycję przejawiała się również w tym, że przy rozpatrywaniu, który z wykładowców ma objąć dany przedmiot, poprowadzić seminarium, Profesor Dąbrowska starała się o to, żeby nie było tu nadmiernej dowolności i aby określone zajęcia prowadziła osoba najbardziej w danej dziedzinie kompetentna. W równym stopniu dbała o *Edukację Artystyczną w zakresie sztuki muzycznej*, co o *Jazz i muzykę estradową*. Rokrocznie czuwała nad jakościową stroną procesu rekrutacyjnego, zabiegała o prawidłowe i sprawne przeprowadzanie sesji egzaminacyjnych, o pomysłową organizację Drzwi Otwartych, wreszcie także i o to, aby Instytut Muzyki jak najczęściej stawał się miejscem koncertów i spotkań z wybitnymi twórcami. Mimo natłoku spraw umiała znaleźć czas dla współpracowników, studentów, kadry administracyjnej, interesantów i gości z zewnątrz, a Jej gabinet – wraz z przyległym doń sekretariatem Dorotki Strzałkowskiej – stał się miejscem o wyjątkowo ciepłej, rodzinnej atmosferze. Zagładanie do dwóch małych pokoików na pierwszym piętrze stało się dla nas rytuałem.

Chcę w tym miejscu przywołać jeszcze jeden, w moich oczach bezcenny, przymiot Beaty Dąbrowskiej. Była nim umiejętność podejmowania właściwych, przemyślanych decyzji. W trudnych do rozsądzenia, niekiedy konfliktowych sytuacjach (jak wiadomo, zdarzają się takie na wyższych uczelniach) potrafiła z wielką rozwagą i roztropnością dochodzić do stosownych rozstrzygnięć. W kularowych rozmowach – kiedy na przykład dyskutowano jakiś palący i niełatwy problem – często wyrażała swoje stanowisko jednoznacznie, dobitnie i niekiedy emocjonalnie, potrafiła nawet pokazać irytację; można byłoby się spodziewać, że zajmie stanowisko nader pryncypialne, wręcz nieprzejednane, bo wynikające z niewzruszonego przeświadczenia o własnej słuszności. Ale już przy podejmowaniu decyzji – często

przecież wążącej na życiowych losach nauczycieli akademickich, studentów – zawsze, usuwając osobisty pogląd na margines, zmierzała do rozwiązania bardzo wyważonego, kompromisowego, takiego, które nikogo by nie krzywdziło, albo – przy braku idealnego wyjścia – by stało się upragnionym złotym środkiem. Słowem, by była to decyzja dobra, ze wszech miar sprawiedliwa, mądra. I nie znajdujemy od tego wyjątku. Chodzi tutaj szczególnie o stany „graniczne”: przy opóźnieniach w doktoratach i habilitacjach, trudnych problemach nieuniknionej zmiany pokoleń czy koniecznych posunięciach reorganizacyjnych. Każdorazowo, we wszelkich pomysłach Pani Dyrektor, widać troskę i chęć poszukiwania optymalnych w danym wypadku rozwiązań, a przy tym – niezmiennie – Jej wielką życzliwość wobec współpracowników i studentów. Wynikało to stąd, że z gruntu była osobą pełną dobroci, w czym umacniała Ją głęboka, żarliwa religijność.

Zawsze zdumiewało mnie, że przy tak licznych obowiązkach związanych z kierowaniem Instytutem Muzyki, dydaktyką uniwersytecką, prowadzeniem Chóru Kameralnego Towarzystwa Muzycznego i działalnością organizacyjno-animatorską dla lubelskiej kultury muzycznej Profesor Dąbrowska potrafiła chłonąć życie w całej jego wielobarwności i najszlachetniejszych odcieniach. Stale bywała na koncertach, uczestniczyła w przeróżnych uroczystościach, prelekcjach, wernisażach, przysłuchiwała się występom naszych studentów (tych koncertów chyba nigdy nie opuszczała), pojawiała się na rozmaitych innych jeszcze imprezach kulturalno-artystycznych, a i nie bez chętnego udzielania się w spotkaniach towarzyskich. Skąd miała na to wszystko czas?... Czerpała go z miłości. Do ludzi, do muzyki... – do życia. Jak chciał poeta: „jeżeli kochasz czas zawsze odnajdziesz”<sup>1</sup>.

## II

Gdy jesienią 2013 roku zdiagnozowano złośliwy nowotwór, przyszło cierpienie. Chemioterapie, badania, nerwowe oczekiwanie na wyniki, znowu chemie, operacje, nadzieje, zwątpienia, bezustanne napięcie... W międzyczasie był półroczny urlop zdrowotny (semestr letni roku akademickiego 2013/2014), potem wakacje, po których wróciła z nową energią i na przekór chorobie pełniła dyrektorską służbę. To naprawdę dawało nadzieję i przez następne miesiące byliśmy pełni optymizmu. Co więcej, na pozór wszystko wyglądało, jakby nic złego nie miało się zdarzyć. Jak wcześniej: prowadziła zajęcia, przewodniczyła Radzie Instytutu, dyplomom artystycznym, magisteriom, uczestniczyła w komisjach dla ubiegających się o zatrud-

---

<sup>1</sup> Z wiersza *Nie ma czasu* księdza Jana Twardowskiego. Cyt. [za:] J. Twardowski, *Nadzieja, miłość, spisane pacierze. Wiersze wybrane*, wybór i wstęp A. Iwanowska, Białystok 2007, s. 152.



Fot. 1. Beata Dąbrowska (2010).



Fot. 2. Na spotkaniu towarzyskim (styczeń 2015), od lewej: Renata Gozdecka, Jadwiga Jasińska, Beata Dąbrowska, Gabriela Klauza, Zofia Bernatowicz, Urszula Bobryk (plan dolny), Elżbieta Krzemińska.



Fot. 3. Przed kościołem pw. św. Jerzego w Sopocie (kwiecień 2014);  
od lewej: Renata Gozdecka, Dariusz Dąbrowski, Przemysław Stanisławski,  
Beata Dąbrowska, Jadwiga Jasińska.



Fot. 4. Na sopockim moście (kwiecień 2014); od lewej: Izabela Urban, Jadwiga Jasińska,  
Beata Dąbrowska, Renata Gozdecka.

nienie w naszym Instytucie, bywała na posiedzeniach Rady Wydziału i nieodmiennie usilnie zabiegała, aby Instytut Muzyki sprostał kolejnym wyzwaniom systemowym.

Ale kosztowało Ją to coraz więcej, bo stan zdrowia stale się pogarszał. Wiemy, jak cierpiała, z miesiąca na miesiąc bardziej. Zasadniczo nie uskarżała się, a pytania o zdrowie zbywała zdawkowo, niekiedy ze zniecierpliwieniem. Tylko czasem – i wyłącznie w wąskim gronie – wyjawiała, jak bardzo się męczy.

Przypomnę tu epizod dużo mówiący o Jej osobowości i niezłomnym charakterze, który ze zwielokrotnioną siłą doszedł do głosu właśnie wtedy, gdy walczyła z chorobą. W końcu kwietnia 2014 roku, po uciążliwej chemioterapii, będąc w bardzo niestabilnym samopoczuciu psychofizycznym, zmieniającym się z dnia na dzień – wybrała szaloną podróż. Wzięła ukochanego Darka, moją Jadzię, Renię Gozdecką, Izę Urban, wsiadła do samolotu i poleciała do Gdańska: by posłuchać, jak w sopockim kościele Przemysław Stanisławski poprowadzi prawykonywania zagadkowej *Missa in Dis* „*Die Zauberflöte*” i kilku innych XIX-wiecznych dzieł. Co ją do tego skłoniło? Tak wiele koncertów dała sama, tak wiele ich wysłuchiwała. I jeszcze ten jeden? Akurat teraz, przy tak fatalnym samopoczuciu?! Nie była to na pewno chęć odkrycia czegoś nowego, bo partytury tych utworów świetnie знаła od dłuższego czasu. Myślę, że się nie pomyłę: wobec nadchodzących przeczuć było to gorące, nieodparte pragnienie, aby jeszcze raz – z całą intensywnością – doznać wyczekiwanych wzruszeń, przeżyć piękno – stanąć nad Bałtykiem, zachwycić się... – i koniecznie z bliskimi, z tymi, których się kocha.

To właśnie dzięki sile ducha i gorącemu umiłowaniu życia powróciła do aktywności akademickiej i artystycznej. Jeszcze u schyłku 2015 roku wierzyła, że wiosną wyruszy z Chórem Kameralnym na koncerty do Niemiec. Chciała, przygotowywała się, prowadziła próby...

Jej ostatni semestr był heroiczny. Coraz słabsza, znosząca dojmujący i nieodstępujący ból, mężnie (to było męstwo!) starała się wypełniać dyrektorskie i dydaktyczne obowiązki, a w początkach stycznia 2016 roku dyrygowała jeszcze u oo. kapucynów na Poczekajce. Na zwolnienie lekarskie poszła dopiero wtedy, gdy zabrakło Jej jakichkolwiek sił, a codzienność wypełniały pobyty w szpitalu, krótkie tylko chwile w domu; potem operacja, szpital, kroplówki, transfuzje, znieczulenia... Wczesnym rankiem 14 marca 2016 roku Beaty Dąbrowskiej nie było już wśród nas.

\*\*\*

Ostatni raz widziałem Beatę 12 stycznia 2016 roku w naszym Instytucie. Przyniosłem Jej moją nowo wydaną książkę o polskich pieśniach kościelnych i ludowych. Ucieszyła się i po krótkiej rozmowie pożegnała mnie ciepłym, choć odrobinę melancholijnym uśmiechem. Skąd mogłem jednak wiedzieć, że ostatni

raz? Do książki zapewne nie zdołała zajrzeć (bo to już nie był ten czas), a tak chciałem usłyszeć od Niej opinię o zapisanych tam pieśniach. Dziś mogę Jej tylko dedykować strofy jednej z nich. Niech staną się naszą wspólną modlitwą:

Mój Jezu ukochany,  
Racz przyjąć serce me,  
Do Serca Twego rany,  
Przyciskam serce swe.

Weź, przyjmij je, o Panie,  
I zamknij w Sercu ranie,  
Chcę żyć tchnieniem miłości  
Teraz i w wieczności.

Najmilszy Oblubieńcze,  
Z tysiąca wybrany,  
Twój tron kwieciem uwieńczę,  
O Panie nad Pany!

Tronem dla Oblubieńca  
Najmilsze serce czyste.  
Wijmy lilie do wieńce  
Na gody wieczyste.

Oddaję serce całe,  
Tobie, o mój Panie,  
By głosiło Twą chwałę,  
Twoje Panowanie!

Niechże Ci będzie chwała,  
O dobry Jezu mój!  
Niech czi Cię ziemia cała  
Za łask Twych hojny zdroj!

Z przybytków Najwyższego  
I z głębi serca mego,  
Cześć, chwała Barankowi,  
Wiecznemu Królowi.

AMEN

## SUMMARY

Professor Beata Dąbrowska (1960-2016) became Director of the Institute of Music, Maria Curie-Skłodowska University in 2005 as a person with extraordinary assets necessary to hold such a post: she was extremely dedicated to her work, full of enthusiasm, sympathetic towards her colleagues and students, understanding, endearingly modest, and straightforward. She was engaged in the Institute's matters and had a very good grasp of them. She held the position of Director of the Institute of Music until her death, being highly competent and devoted to her work, considering that she had to head the Institute in perhaps organizationally the most difficult times of structural and curriculum changes, new technological innovations etc. All her efforts for the University's Institute of Music, and the Faculty of Arts cannot be overestimated.